

żyjemy dłużej

AKTYWNI I ZDROWI

NR 3 (636)
MARZEC
2012
cena 4,99 zł
(w tym 8% VAT)

KRYSTYNA JANDA

*Jestem wierna
i sobie, i widzom*

ZAPISANE W GENACH

Co nam da
test DNA

Problem do uniesienia

KOSMETYKI I ZABIEGI
POWIĘKSZAJĄCE BIUST

Leczenie 2012

8 zmian w służbie
zdrowia, o których
trzeba wiedzieć

REPORTAŻ

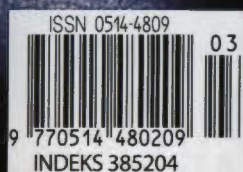
Życie cukrzyka
może być słodkie

Apteka NA TALERZU Dieta kontra rak

TEMAT MIESIĄCA

Czy musi tak BOLEĆ

Kto zapanuje nad bólem,
będzie miał świat u stóp



MARSKOŚĆ WĄTROBY – Nie trzeba być alkoholikiem, by zachorować

Ja nie jestem, proszę pani, na zakręcie

To jedno z najbardziej rozpoznawalnych polskich nazwisk. Kobieta-instytucja. Sztuki z jej udziałem od lat nie schodzą z afiszy. O najważniejszych rolach w swoim życiu, trudnym zadaniu stworzenia własnego teatru i nieustannej potrzebie działania rozmawiamy z aktorką filmową, teatralną i reżyserką – **Krystyną Jandą**.

Żyjmy dłużej: Janda to kobieta z klasą – to powszechnie krążąca o Pani opinia. Jakim trzeba być, by zasłużyć sobie na takie miano?

Krystyna Janda: Kobieta z klasą? A co to dziś znaczy? Kryteria się i zatarły, i zmieniły. Moim zdaniem, jeśli cokolwiek można o mnie powiedzieć, to tyle, że biorę odpowiedzialność za to, co robię. Działam w swoim zawodzie rzetelnie, w sposób zrównoważony, z sukcesem, systematycznie, będąc wierną i sobie, i widzom, nie obniżając poprzeczki, którą zresztą wyznaczam sobie sama, bez kompromisów. No i chyba to, że moja prywatność, jeśli przedostaje się do mediów, to w sposób kontrolowany. Jestem osobą otwartą, prawdziwą, paradoksalnie niczego nie udaję. Prostota jest moją dewizą i w sztuce, i w mediach.

„Zaczynam 60. rok życia, a czuję się, jakbym miała 35”. To fragment Pani dziennika. Najbardziej frustrujący w upływie czasu jest ten coraz bardziej pogłębiający się „rozjazd” między duchem a ciałem, między

sprawnie działającym umysłem a słabniejącym ciałem. Jak Pani zmniejsza ten dystans?

Nie zmniejszam. Pisałam o moim – za przeproszeniem – mózgu. Fizycznie jestem zmęczona, często także znudzona. Nie biegnę za wszystkim i każdym. Coraz częściej zostaję w miejscu, ze sobą, i dobrze mi z tym, to jest mój wybór. Zresztą moje ciało nadal jest dość sprawne, mam siłę i nerwy, wytrzymuję dużo więcej niż młodzież.

Dwa teatry, wiele ról, reżyseria, masa scenariuszy do czytania. Do tego trójka dzieci, wnuczki. Skąd na to energia? Od publiczności? A może to kwestia ambicji – obiecałam sobie, że wszystko, co zrobię, będzie bardzo dobre?

Mam nadzieję, że to ostatnie zdanie nie było cytatem ze mnie! A jeśli, to wyrwanym z kontekstu. Jak można przyrzec sobie, że to, co się zrobi, będzie bardzo dobre? W sztuce? Tu trzeba ryzykować, a artystą się bywa. Swoim życiem zawodowym udowodniłam chyba, że nie odcinam tylko kuponów od tego, co już zrobiłam, a cały czas

się rozwijam, zmieniam, eksperymentuję. Poniżej pewnego poziomu nie schodzę, to prawda, ale między tym a czymś bardzo dobrym jest ogromna przestrzeń. Skąd mam siłę? Nie wiem. Czy to ambicja? Nie wiem, raczej potrzeba – ambicje to ja miałam, kiedy kończyłam studia, teraz raczej dokonuję wyborów, świadomie i odważnie.

Jak Pani ładuje akumulatory?

No cóż, i przyroda, i zwierzęta, i rodzina, i małe codzienne sprawy, jak gotowanie choćby, są odpoczynkiem, przyjemnością, ale ja nie czuję się zmęczona. Bardzo to wszystko lubię, ale lubię tak zwyczajnie, jak i życie. Nie demonizuję tego mitycznego „ładowania akumulatorów”. Jak trzeba, to pracuję, jak mam chwilę, to idę choćby na spacer. Niczego tu więcej nie ma. Każdy z nas ma inne potrzeby, inaczej odpoczywa, co innego ma dla niego wartość. Nie przepadam za podróżami, a są ludzie, którzy pracują tylko po to, żeby potem jechać, gdzie oczy poniosą.

Pytana o receptę na dobry wygląd, odpowiada Pani w reklamie Soraya: „Prostota, energia, wiara w siebie i dobry krem”. Jak dba Pani o urodę, tak ważną dla aktorki?

Jestem czynna, to chyba najważniejsze. Często się śmieję, dbam obsesyjnie o higienę i dyscyplinę codzienną. Od zawsze używam kosmetyków pielęgnacyjnych i dobrych kosmetyków kolorowych, ale też gdy tylko mogę się nie malować, korzystam z tego. Staram się żyć w zgodzie ze sobą. Tyle.

Wystawia Pani wiele sztuk o kobietach i ich problemach. Podobno po niektórych spektaklach kobiety zwracają się, że wieczór w Pani teatrze był bodźcem do ważnych zmian.



Przypomina Pani sobie historię którejs z kobiet na zakręcie?

Spektaklowi „Shirley Valentine” towarzyszy program teatralny, w którym pozwoliliśmy sobie wydrukować listy od widzów. Jest tam wiele podziękowań za wieczory w teatrze, które dały bodziec do zmiany sposobu myślenia, ale i życia. Wczoraj dostałam kwiaty i list od pani, która, jak twierdzi, dzięki książce „Moja Droga B.” przetrwała najcięższe chwile w szpitalu, a moje poczucie humoru uratowało ją. Napisała, że jestem z tego powodu jej bliższa niż rodzina. Czy można dostać piękniejszy dowód na to, że to, co robię, ma sens?

Otwierając Polonię, powiedziałam, że mała scena będzie miejscem dla kobiet, sceną mówiącą o kobietach, przez kobiety. Krytykowano mnie za tę ideę, jak mówiono, zawężającą, ale czułam, że kobiety nadchodzą, podnoszą głowy, grupują się, rozluźniają.

Czy rola Agnieszki w „Człowieku z marmuru” wytyczyła Pani życiową drogę? Uświadomiła, że nie należy bać się wyzwania? I że trzeba być wiernym sobie?

Tak, mówiłam o tym wielokrotnie. Staram się mimo upływających lat, wielu

ról, kolei losu, nie zaprzeczyć postaci, którą wtedy stworzyliśmy z panem Wajdą. W jakimś sensie jestem tą Agnieszką do dzisiaj.

Była Pani ozdobą wielu teatrów. Skąd pomysł na własną scenę?

Z potrzeby wolności. Ale to była szalona decyzja. Zdeterminowała ona moje życie, także prywatne, mojej rodziny. Po dotychczasowym życiu, rolach, wysiłku, sukcesach powinnam być artystką, która ma wszelkie możliwości „tworzenia” bez ograniczeń. Nie musiałam sobie stworzyć miejsca pracy i tracić czasu i sił na marne sprawy, marnych ludzi, upokarzające sytuacje. Zrobiłam to. Zamieniłam swoje życie w wielkie, ciągle zmartwienie. A radość z reżyserowania i grania co najmniej w połowie repertuaru przesłania mi świadomość tego wszystkiego, co się za tym kryje. Świadomość, która przeszkadza i rani artystów, kaleczy wyobraźnię i dotyka wyborów artystycznych. Trudno. Na szczęście przedtem byłam „dzikim koniem”. Ale z drugiej strony, jestem za-

dowolona. Stworzyłam coś, co wydaje się być potrzebne nie tylko mnie. To prawda, muszę uwzględniać dziesiątki zależności, ograniczeń. Nie mogę zagrać Szekspira, bo nas na to nie stać, muszę zdjąć „Wassę Żelaznową”, bo nie możemy dokładać do spektaklu dla koneserów, ale... jak mówi Magda Umer: „Krysiu, myśmy już byli”. A na scenie dalej „leczę do nieba” i publiczność to wie, czuje. Tylu marnych artystów operuje niewyobrażalnymi dla mnie państwowymi pieniędzmi na zasadach społecznego zaufania, a wychodzą z ich działań kichnięcia myszy lub wręcz szkodnictwo. Czasem mnie to złości, ale szybko mi przechodzi.

Magia teatru nadal działa, o czym świadczą komplety na widowni. Tak jest w Warszawie. Czy publiczność z innych miast różni się w jakiś sposób?

Nie. Stanowczo nie. W teatrze zawsze siedzi elita. Ci, którzy mają potrzebę tam pójść. Elity są elitami, są klasą dla samych siebie.